

A.J.
Quinnell



Lockerbie

Tytuł oryginału: The Perfekt Kill

© 1992 by A. J. Quinnell
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-54-3

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

A.J. Quinnell

Lockerbie

Przekład: Grzegorz Gortat

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 1

Prolog

Mężczyzna wyróżniał się spośród pozostałych, lekarz pracujący w zaimprovizowanej kostnicy zauważył to od razu. Nieznajomy spoglądał na oba ciała bezamiętnym wzrokiem. Jego twarz nie ujawniała śladu cierpienia, nie uronił ani jednej łzy. Zatrzymał wzrok na czteroletniej dziewczynce, na której ciele nie widać było najmniejszej rany. Kiedy leżała tak na stole, mogłoby się zdawać, że mała zagrożona jest w głębokim śnie. Nawet jej długie ciemne włosy pozostawały wciąż starannie uczesane. Mężczyzna przeniósł spojrzenie na zwłoki kobiety, przykryte szczelnie aż po szyję prześcieradłem. Nachylił się i ściągnął przykrycie, odsłaniając nagie, straszliwie zmasakrowane ciało.

– Mogę pana zapewnić, że śmierć nastąpiła bardzo szybko, to była kwestia sekund, proszę pana – wydusił z siebie lekarz.

Później sam się zastanawiał, co mu kazało zwrócić się do nieznajomego w tak ugrzeczniomy sposób. Nie leżało to przecież w jego zwyczajach. Tymczasem zjawił się policjant z notatnikiem w ręku. Spojrzał na zwłoki kobiety i zaraz odwrócił wzrok. Podał stojącemu obok mężczyźnie notatnik i pióro.

– Mogę pana prosić o podanie imienia i nazwiska?

Mężczyzna zapisał swoje dane na kartce, po czym skinął głową lekarzowi i policjantowi i odszedł, mijając długie rzędy ciał. Lekarz i policjant odprowadzali go wzrokiem. Był wysoki, mocno zbudowany, o krótko ostrzyżonych siwych włosach. Zwracał uwagę jego dziwny chód: kiedy szedł, stawał na ziemi najpierw zewnętrzne krawędzie stóp. Patrzące pozornie bez wyrazu oczy osadzone były głęboko w grubo ciosanej twarzy. Chował je pod na wpół przymkniętymi powiekami, jakby w obronie przed dymem papierosowym, którego wcale nie było. Nad prawym okiem biegła pionowa blizna. Inna, głęboka i szersza, przecinała mu prawy policzek, ciągnąc się aż do brody. Lekarz poznał od razu, że to stare blizny. Kiedy mężczyzna przekroczył próg drzwi, policjant odezwał się:

– Niewiele można było po nim poznać.

– Powiem więcej – poprawił go lekarz. – Nie okazał żadnych emocji.

Po czym naciągnął z powrotem prześcieradło na zmasakrowane ciało kobiety.

Mimo trudów rolniczego życia i szturchańców, jakich nie szczędził mu los, Foster Dodd nie stracił nic z uczuciowej wrażliwości. W owym czasie wypasał owce na stupięćdziesięcioarowym pagórkowatym pastwisku, rozciągającym się w pobliżu szkockiego miasteczka Lockerbie. Kiedy latający w barwach Pan Am Jumbo Jet eksplodował na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, wiele ciał wraz z niemal nie naruszonym nosem samolotu spadło wprost na pola Fostera między owcami. Tak właśnie zaczęła się owa straszliwa noc, której miał nie zapomnieć do końca swojego życia.

Nieznajomy zjawił się na farmie dwa dni później w towarzystwie młodego policjanta o twarzy pokrytej żalobą. Podobnie jak lekarz i policjant w kostnicy, również i Foster Dodd spostrzegł, że nowo przybyły wyróżnia się zachowaniem. Pozostali, a było ich niemało, nie potrafili ukryć szoku i szaleńczej rozpaczki. Nie mogli powstrzymać się od łez, a Foster i jego żona wtórowali im w płaczu. Nieznajomy nie uronił nawet łzy. Policjant poznał ich ze sobą i poprosił Fostera:

– Pokaż panu, gdzie znalazłeś tamtą małą dziewczynkę, dobrze? Tę w jasnoczerwonym kombinezoniku.

Szli z kilometr po polach. Było zimno, wiał północny wiatr. Farmer i policjant mieli pod płaszczami ciepłe ubrania. Mężczyzna nosił szare sztruksowe spodnie, wełnianą kraciatą koszulę i dżinsową marynarkę. Sprawiali wrażenie, jakby jeszcze nie obudzili się ze snu. W oddali przesuwali się ustawieni w długi szereg żołnierze, którzy przeczesywali dokładnie każdą piędź ziemi. Kiedy cała trójka dotarła do kępy krzewów, Foster odezwał się:

– Znalazłem ją tam, między tymi krzakami. Rzuciło mi się w oczy jej czerwone ubranie. – Ściszył nieco głos i dodał: – Zgon musiał nastąpić momentalnie, na pewno nic nawet nie poczuła.

Mężczyzna rozglądał się po ogromnym pastwisku. – Pana owce musiały przeżyć niezły szok – mruknął pod nosem.

Tak rozpoczęła się rozmowa, która na zawsze zapisała się w pamięci Fostera Dodda. Dziesięć minut zeszło im na pogawędce o owcach i pracy na farmie. Mężczyzna wykazał się sporą wiedzą. W jego głębokim, spokojnym głosie pobrzmiwał lekki amerykański akcent. Foster obrzucił go kilka razy szybkim spojrzeniem: ciemnoszare, głęboko osadzone oczy przybysza nie oderwały się nawet na moment od kępy krzaków. Nagle Foster Dodd znów zobaczył plamę jaskrawej czerwieni. Przypomniał sobie, jak przedzierał się przez krzaki i znalazł dziewczynkę. Nie dostrzegając na jej ciele żadnych obrażeń pomyślał, że być może mała jeszcze żyje, chwycił ją więc na ręce i potykając się pognął przez pola do domu. Lekarz po zaledwie kilkusekundowych oględzinach pokręcił przecząco głową. Fosterowi utkwiała na zawsze w pamięci pogoda malująca się na twarzyczce dziecka. Na wspomnienie tej chwili łzy od nowa napłynęły mu do oczu i głos zaczął się łamać. Nieznajomy położył mu rękę na ramieniu i odwrócił go łagodnym ruchem. Ruszyli wolno w kierunku domu Fostera. Tego samego wieczoru, leżąc już w łóżku, Foster odezwał się do żony:

– Gość starał się mnie jeszcze pocieszać.

– Kto taki? – nie zrozumiała.

– Mówię o ojcu tej małej dziewczynki w czerwonym ubranku. Stracił żonę i dziecko, a mnie próbował pocieszać... I było mu bardzo przykro z powodu owiec, które straciliśmy.

Peter Fleming urządził tymczasowe biuro w pustej fabryce należącej do firmy chemicznej. Katastrofa samolotu Pan Am miała miejsce w jego obwodzie, stąd też właśnie jemu jako głównemu oficerowi powierzono kierowanie operacją. Przez ostatnie dwa dni udało mu się złapać zaledwie parę godzin snu. Czuł zmęczenie w całym ciele i mętlik w głowie. W obwodzie Fleminga, który mógł się poszczycić jednym z najniższych wskaźników przestępczości w całej Wielkiej Brytanii, panował zwykle sielankowy spokój; mimo to trudno byłoby znaleźć w całym kraju policjanta wykazującego większą determinację i nieustępliwość. Po raz kolejny przebiegał teraz wzrokiem kartkę za kartką: wykaz pasażerów, nazwiska najbliższych krewnych, identyfikacja zwłok. Podniósł oczy na widok policjanta, który podszedł do biurka prowadząc ze sobą nieznanego mężczyznę. Wstał i przywitał się z przybyszem.

– Serdecznie panu współczuję. Powtórzę tylko to, co już pewnie panu mówi-
no: wszystko nastąpiło tak nagle, że z pewnością niewiele zdążyło dotrzeć do ich
świadomości.

Mężczyzna pokiwał głową. Fleming wskazał mu krzesło. Gość usiadł i zapytał:
– Wiadomo już coś o przyczynie katastrofy?

Fleming pokręcił głową. – Na to jeszcze o wiele za wcześnie. Szczątki maszyny
zostały rozrzucone na obszarze co najmniej trzystu kilometrów kwadratowych
i upłynie niemało tygodni, zanim wszystko poodnajdujemy i poskładamy do kupy.
Głos, który dobiegł do niego ponad biurkiem, był zimny i stanowczy:

– Na pokładzie wybuchła bomba.

Uwagę Fleminga przykuła nie tyle treść uwagi, co głos rozmówcy: niski, głęboki,
wibrujący, wyzbyty wszelkich wątpliwości.

Patrząc mu w oczy Fleming odpowiedział: – Tego jeszcze nie wiemy. Nie mogę
niczego twierdzić przed poznaniem wszystkich faktów.

Mężczyzna skinął tylko głową i wstał.

– To była bomba – powtórzył. – Fakty w końcu tylko to potwierdzą.

Fleming również podniósł się z miejsca. – Jeżeli ktoś podłożył bombę, to moim
zadaniem będzie wykryć sprawców i oddać ich w ręce sprawiedliwości.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Wreszcie Fleming przerwał milczenie:

– Mam nadzieję, że będzie pan mógł odebrać ciała w ciągu czterdziestu ośmiu
godzin. A tymczasem czy mogę być panu jeszcze w czymś pomocny?

– Chciałbym dostać pełną listę pasażerów oraz nazwiska i adresy ich najbliż-
szych krewnych.

– Nie jestem pewny, czy wolno mi je panu udostępnić.

– Dlaczego nie?

Oficer wzruszył ramionami. – Taki jest tryb postępowania. Wie pan, w moim
obwodzie nigdy przedtem nic takiego się nie zdarzyło.

– I miejmy nadzieję, że więcej się nie powtórzy. W każdym razie z uwagi na za-
łatwianie formalności ubezpieczeniowych najbliżsi krewni ofiar będą musieli zor-
ganizować się w jakąś grupę i być ze sobą w kontakcie.

Policjant odpowiedział skinieniem głowy. – Chyba ma pan rację. Dobrze, spró-
buję zdobyć listę przed pana wyjazdem.

Podali sobie ręce, po czym Amerykanin odwrócił się i przeszedł między biurka-
mi do drzwi. Uwagę Fleminga zwróciła dziwna rzecz: w sali przy biurkach siedzia-
ło co najmniej z tuzin policjantów i policjantek, którzy obsługiwali centrum łącz-
ności radiowej; otóż wszyscy oni jak na komendę przerwali pracę i odprowadzali
przybysza wzrokiem. Wrócili do swoich zajęć dopiero wtedy, kiedy za mężczyzną
zamknęły się drzwi. Fleming położył przed sobą listę najbliższych krewnych ofiar.
Przesuwał palcem wzdłuż kolejnych pozycji, aż odnalazł szukane nazwisko. Ski-
nął na swego asystenta i wręczając mu wykaz polecił:

– Zadzwoń do Jenkinsa z Wydziału Specjalnego. Poproś, żeby sprawdził tego
gościa.

Policjant oddalił się, a Peter Fleming nadal stał wpatrując się w zamknięte drzwi.
Przeszedł go lekki dreszcz. Nie ma rady, trzeba będzie zamówić więcej grzejni-
ków.

1

Było już ciemno. Dobermanka niczego nie dostrzegła, nie usłyszała i nie wywęszyła. Poczula tylko ostry, przeszywający ból w boku. Zerwała się na cztery łapy, wydając zdziwione warknięcie. Począpiała parę kroków wzdłuż basenu, raptem ugięły się pod nią łapy i zwała się na bok. Przez pół minuty ciałem suki wstrząsały drgawki, po czym zastygła w bezruchu. Trzydzieści metrów dalej odziana na czarno sylwetka ześlizgnęła się po linie ze szczytu wysokiego ogrodowego muru. Przez kilka minut czarna postać czekała przykucnięta i wyteżała wzrok. Jedynym źródłem światła był słaby poblask odległych latarni ulicznych. Wreszcie podniosła się i zbliżyła do basenu. Tam zatrzymała się na chwilę nad psem, następnie przesunęła się na tyły pograżonego w ciemności budynku. Miguel oglądał w telewizji odcinek serialu „I Love Lucy”. Zachwycał go hiszpański akcent Desi Arnaza przypominający w przekonaniu Miguela jego własny. Śmiał się właśnie w najlepsze, kiedy do jego uszu doszedł hałas u drzwi. Odwrócił się zaskoczony i śmiech zamarł mu na ustach na widok ubranego na czarno mężczyzny. Zobaczył unoszącą się w jego stronę lufę pękatego pistoletu i usłyszał stłumiony trzask. Poczul ukłucie w klatce piersiowej. Poderwał się z przerażoną miną chwytając się za pierś. Sylwetka mężczyzny zaczęła mu się rozmazywać przed oczami. Dobięgl go głos, głębok i wibrujący:

– Bez obawy, nic ci nie będzie. Trochę się tylko prześpisz.

Miguel zgiął się wpół. Zanim zwał się na dywan, był już pograżony we śnie.

Kolacja była nudnym, acz nieodzownym obowiązkiem. Nie było mowy, żeby James S. Grainger, wieloletni senator ze stanu Kolorado, mógł się w rozsądny sposób od niej wykręcić. Kiedy gubernator wydawał kolację dla sekretarza stanu ds. obrony, obecność senatora była ze wszech miar oczekiwana. Jak miało to miejsce ostatnimi czasy, również i dzisiaj senator nie wylewał za kołnierz. Kolację poprzedził zbyt wieloma szklaneczkami whisky, a do samego posiłku wychylił zbyt dużo lampek wina. Wiedział jednak, że nikt z tuzina gości zgromadzonych wokół stołu niczego nie pozna. Jedynie Harriot mogłaby go rozszyfrować, ale w końcu przy jej trzydziestopięcioletnim doświadczeniu to nic trudnego. James S. Grainger był człowiekiem inteligentnym i praktycznym. W ciągu całej kolacji niewiele się odzywał, ale żaden z gości nie oczekiwał niczego innego. Jako pierwszy zebrał się do wyjścia, co nikogo nie zaskoczyło. Odprowadzając go do drzwi, gubernator ujął go pod ramię i poprosił: – Rozważ to jeszcze raz, Jim. Naprawdę chciałbym, żebyś objął przewodnictwo komitetu finansowego.

Senator przebiegł wzrokiem pokój: wszystko na swoim miejscu. Momentalnie alkohol wywietrzał mu z głowy, wróciła czujność. Zanim jednak zdążył coś powiedzieć lub wykonać jakikolwiek ruch, nieznajomy przemówił:

– Przepraszam, senatorze, za tę nieproszoną wizytę. Nie mam złych zamiarów. Zajmę panu z dziesięć minut i zaraz znikam.

Senator zerknął na telefon stojący na biurku. Mężczyzna podchwycił spojrzenie i wyjaśnił przepraszającym tonem: – Odłączyłem aparat.

W głosie intruza pobrzmiewał lekki południowy akcent. Głos był głęboki i do-
bywał się wprost z przepony.

– Do diabła, coś pan za jeden? Miguel pana wpuścił?

– Miguel odpoczywa teraz wygodnie w swoim pokoju. Nie obudzi się wcześniej
jak nad ranem.

James S. wiedział, co to strach. Z walk w Korei wyniósł rany i liczne odznacze-
nia. W pierwszej chwili widok nieznanego przejął go lękiem, który teraz powo-
li zaczął mijać. Podchodząc do barku zapytał: – Dlaczego nie umówił się pan nor-
malnie na spotkanie?

– Trzy dni temu zadzwoniłem do pana sekretarki. Na jej pytanie o rodzaj sprawy
wyjaśniłem, że rzecz jest natury osobistej. Kazała mi zostawić swój numer. Na-
stępnego dnia telefonowałem dwukrotnie powtarzając jej, że sprawa jest osobista
i nie cierpiąca zwłoki. Wiem, że rano wylatuje pan do Waszyngtonu.

Senator zatrzymał się przy barku i oparł się łokciem o jego blat. Zgodnie z ży-
czeniem gospodarza mebel był dopasowany do jego wzrostu. Stał teraz twarzą do
przybysza.

– Jak się pan nazywa?

– Używam nazwiska Taylor.

Senator pokiwał z namysłem głową. – Tak, chyba sobie przypominam, była ja-
kaś wiadomość od pana. Kłopot w tym, że mam naprawdę bardzo mało czasu.

– Ja również.

W głosie senatora pojawiła się nagle zdecydowana nuta. – Jaki jest powód pań-
skiej wizyty?

– Rejs numer sto trzy linii Pan Am.

Patrzyli na siebie przez chwilę. Senator był starszy o dziesięć lat. Miał włosy
przyprószone siwizną, sylwetkę szczuplejszą i mniej postawną, ale wciąż wyspor-
towaną. Każdego ranka pokonywał siedemdziesiąt długości piętnastometrowego
basenu. Bez pośpiechu wszedł za barek i nalewając sobie dużą szkocką, zapytał:
– Jak się pan tutaj dostał?

– Muszę przyznać, senatorze, że ma pan bardzo nowoczesny system bezpie-
czeństwa. Przed wyjściem powiem panu, jak można go jeszcze bardziej usprawnić.

– Co z psem?

– Leży przy basenie. – Podniósł rękę i zapewnił: – Proszę się nie martwić, tylko
śpi.

Senator spojrział na szklaneczkę przybysza: była prawie pusta. – Co pan pije?

Taylor wskazał brodą na półki za plecami senatora. – Poczęstowałem się pańską
wymienitą Wyborową.

Gospodarz sięgnął po butelkę, nalał porządną porcję alkoholu, po czym zdjął
pokrywę z pojemnika na lód i nałożył sobie lodu. Na barku stała mała butelka
z wodą sodową. Taylor nalał jej do szklaneczki i podniósł kieliszek. Senator rów-
nież wznosił kieliszek i zapytał:

– Co panu wiadomo o rejsie numer sto trzy?

– Leciła nim pańska żona.

– Zatem?

– Na pokładzie były także moja żona i córka.

Na moment zapadła cisza. Senator przerwał ją pierwszy.

– Ile lat miała pańska żona?

– Dwadzieścia dziewięć.

– A córka?

– Cztery.

Z niewiadomych dla samego siebie powodów senator zadał kolejne pytanie:

– Jak się nazywały?

– Nadia i Julia.

W pokoju znów zaległa cisza. W końcu senator przemówił zduszonym głosem:

– Moja żona miała na imię Harriot. Przeżyła sześćdziesiąt trzy lata. Byliśmy bezdzietni, nie mogliśmy mieć dzieci. Byliśmy tylko we dwoje...

Gość napełnił ponownie szklaneczki i zaproponował: – Wyjdźmy przed dom. Nad wodą jakoś lepiej mi się myśli.

Senator rozsunął oszklone drzwi. Obeszli basen i zatrzymali się przy psie. Mężczyzna nachylił się, podłożył suce dłoń pod pysk i trzymał tak przez pół minuty. Podniósł się i orzekł:

– Nic jej nie będzie. Obudzi się o świcie, tyle że w dosyć kiepskim nastroju.

– A jak poradził pan sobie z Miguelem?

– W ten sam sposób. W końcu wszyscy jesteśmy zwierzętami.

Ruszyli razem wokół basenu. Nieznajomy zadał następne pytanie: – Co zamierza pan zrobić w związku ze śmiercią Harriot?

Zrobili kolejne dwa okrążenia, zanim senator odezwał się:

– A co pan zrobi w sprawie śmierci Nadii i Julii?

– Zabiję drani, którzy je uśmiercili.

Przeszli dwa okrążenia w całkowitej ciszy. – Wejdźmy do środka – zaproponował senator.

W chwilę potem uśmiechnął się blade. – Mam zamiar zrobić dokładnie to samo. Puściłem już piłkę w ruch.

– W jaki sposób?

Senator był nader akuratnym człowiekiem. Zanim odpowiedział, zerknął na datę na tarczy swojego rolexa. – Przed trzema tygodniami wynająłem pewnego człowieka. To fachowiec...

– Fachowiec od czego?

– Od zabijania. Kilka lat temu upozorował własną śmierć. FBI potwierdza, że został zabity. To naprawdę niezwykły facet, jeden z nielicznych Amerykanów, którzy służyli we francuskiej Legii Cudzoziemskiej.

– Kiedy to było? – zapytał cicho Taylor.

– Nie wiem dokładnie, w każdym razie walczył w szeregach Legii w Algierii.

– W którym batalionie?

– Nie dysponuję szczegółowymi danymi, wiem tylko, że był to batalion spadochroniarzy.

– Ile mu pan zapłacił... Ile wziął zaliczki?

Po krótkiej chwili wahania senator odpowiedział:

– Cały kontrakt opiewa na milion dolarów: dwadzieścia pięć procent od razu do ręki, kolejne dwadzieścia pięć procent po rozpoznaniu celu, i reszta po wykonaniu zadania.

Nastała cisza. Przerwał ją spokojny głos senatora: – Zamierzał pan przedstawić podobną propozycję?

Nocny gość pokręcił przecząco głową. – Niezupełnie. Chcę wykorzystać pańskie powiązania i dostęp do informacji. Po zapoznaniu się z koneksjami i życiorysami wszystkich pasażerów feralnego samolotu stwierdziłem, że u pana znajdę to, czego mi trzeba: to znaczy pieniądze i władzę dającą dostęp do informacji za pośrednictwem CIA i FBI. Dysponuję sporym majątkiem, ale niewystarczająco dużym. Tego rodzaju operacja pochłonie jakieś pół miliona dolarów. Ja wyłożę połowę, pan drugą.

– Chyba się pan nieco spóźnił ze swoją propozycją.

Rozmówca senatora pokręcił głową. – Bynajmniej.

– Co ma pan na myśli?

Przybysz wzruszył ramionami i odparł: – Prawdą jest, że mężczyzna, którego pan scharakteryzował, służył w batalionie spadochroniarzy w Legii Cudzoziemskiej, a kiedy wyrzucono go po rewolcie generałów, został najemnikiem. Prawdą jest także, że brał udział w wojnach przez pana wspomnianych, oraz w innych. Zgadza się również i to, że przed pięciu laty upozorował własną śmierć.

– Zatem?

– Chcę powiedzieć, że człowiek, o którym mowa, nie jest tym samym, z którym pan rozmawiał, i któremu dał pan trzy tygodnie temu ćwierć miliona dolarów. Oszukano pana, senatorze.

Senator poczuł, jak wzbiera w nim gniew. – Co pan plecicie, do diaska?

– Opisany przez pana człowiek siedzi na wprost pana po drugiej stronie barku, popijając pańską wyśmienitą wódkę. Byłem jedynym Amerykaninem, który w czasie wojny w Algierii służył w batalionie spadochroniarzy w Legii Cudzoziemskiej.

Zaskoczony senator rozdziawił usta, ukazując złote plomby w tylnych zębach. – Jakie jest pana prawdziwe nazwisko? – wydusił z siebie wreszcie.

– Creasy.

Senator zacisnął szczęki.

– Oczywiście może to pan udowodnić?

– Oszust zjawił się u pana osobiście; można założyć, że miał mniej kłopotów z obejściem pańskiej sekretarki niż ja. Proszę mi go opisać.

– Był mniej więcej w pańskim wieku, o dosyć długich, choć schludnie utrzymanych włosach siwiejących na skroniach. Miał wąsy, bliznę na czole, i szczupłą, mocno opaloną twarz. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ubrany był w elegancki garnitur wyglądający na robotę dobrego krawca.

– Z jakim mówił akcentem?

– Typowym dla Środkowego Zachodu, chociaż niezbyt wyraźnym. Coś jak pan, jak ktoś, kto wiele czasu spędził poza Ameryką.

Na twarzy mężczyzny pojawił się krzywy uśmiech. – Człowiek, który był u pana, senatorze, to Joe Rawlings, zwykły oszust. Kiedy otrzymał od pana pieniądze, to powiedział, dokąd zamierza się udać?

Senator patrzył na niego ponuro.

– Do Brukseli – odpowiedział. – Miał się tam spotkać z paroma osobami i wybrać odpowiednich współpracowników. Według niego Bruksela była do tego celu stosownym miejscem.

– Odezwał się do pana od tamtego czasu?

– Nie, mówił, że zadzwoni za miesiąc. – Sprawdził datę na swoim zegarku. – Czyli od dzisiaj za tydzień.

– Zostawił jakiś adres?

Senator odparł z pochmurną miną: – Podał adres na poste restante w Brukseli i kolejny we Francji, dokładnie biorąc w Cannes.

– Został pan nabyty w butelkę, senatorze. Mechanizm oszustwa jest prosty. Za tydzień Rawlings zadzwoni do pana z informacją, że przesyła panu tymczasowe sprawozdanie. Kiedy pismo do pana dotrze, okaże się, że zawiera spis wydatków, które, proszę mi wierzyć, będą całkiem niemałe, plus nazwiska wynajętych przez niego najemników, a także wykaz kosztownego sprzętu, jaki dotychczas nabył, wraz z odpowiednimi rachunkami. Kiedy zamachowcy odpowiedzialni za katastrofę samolotu zostaną ustaleni, pan zawiadomi go za pośrednictwem obu adresów na poste restante. W tym momencie cwaniak poprosi pana o kolejną ratę. W ciągu kilku dni otrzyma pan namacalny dowód na to, że mam rację.

Dodał, wskazując pustą szklaneczkę: – Na szkle zostały moje odciski palców – proszę ukryć je w swoim sejfie. Gdy za kilka dni znajdą się w pana posiadaniu odciski palców Joe Rawlingsa, niech pan każe sprawdzić jedno i drugie swoim przyjaciółom z FBI. W jakiś czas później dotrze do pana mój list. Proszę oderwać niezapisany prawy róg w dole kartki i przesłać go znajomym z FBI. Skrawek zawierać będzie odcisk mojego kciuka. W ten sam sposób będzie pan sprawdzać wiarygodność wszystkich otrzymywanych ode mnie listów. Natomiast każdą rozmowę telefoniczną będą zaczynał od podania hasła „Lockerbie” i daty sprzed dziesięciu dni.

Rozprostował plecy z wyrazem zmęczenia na twarzy. Nie mniejsze znużenie malowało się na obliczu senatora. Po chwili senator wyprostował się i wycodził przez zęby: – Dostaniemy tych drani w swoje ręce. – Nagle przez głowę przeleciała mu pewna myśl. – Będzie pan działał w pojedynkę czy wynajmie którychś ze swoich dawnych kompanów?

Creasy odpowiedział mu przeczącym ruchem głowy. – Nie, sprawa ma wymiar osobisty. Wprowadzę jednak dodatkowy element, który może okazać mi się niezbędny: dodam młodość. Potrzebny mi będzie młodzieniec, którego mógłbym ukształtować na własną modłę. Postaram się odtworzyć w nim jakąś część samego siebie z przeszłości i tym samym związać go ze sobą. Będzie to stanowiło pewnego rodzaju zabezpieczenie. Nie wiemy przecież, ile czasu upłynie, zanim zamachowcy zostaną wykryci. Mogą to być miesiące, a nawet całe lata.

Senator Grainger uśmiechnął się i zauważył, wzruszywszy ramionami: – Chciałbym być w pana wieku i mieć pańskie doświadczenie. Bez namysłu dołączyłbym do pana. Dobry Boże, niczego bardziej nie pragnę.

– Od tej chwili stanowimy jedną drużynę – podkreślił Creasy. – Nie będzie już pan odczuwał dokuczliwej samotności, i to samo odnosi się do mnie. Od dzisiaj mam przyjaciela, z którym mogę dzielić swój ból.

Wyciągnął ręce i położył je na krótką chwilę na ramionach Graingera. – Spróbuję odzyskać część pańskich pieniędzy, jeśli jeszcze coś z nich zostało. Teraz na mnie już czas. Rzucę tylko okiem na system bezpieczeństwa i podłączę telefon.

2

Boisko do piłki nożnej było małe i zakurzone. Na maltańskiej wyspie Gozo próżno by szukać trawy, w każdym razie nie porastała jej murawa typowa dla boisk futbolowych. Wiek chłopców wahał się od czternastu do siedemnastu lat. Od czasu katastrofy samolotu Pan Am upłynęło pięć miesięcy. Zbliżał się koniec sezonu piłkarskiego. Przybysz siedział obok księdza Manuela Zerafy na stopniach kościoła i przyglądał się grze. Ojciec Manuel Zerafa opiekował się miejscowym sierocińcem. Obaj mężczyźni znali się i przyjaźnili od wielu lat. Kopnięta energicznie piłka poszybowała na środek pola. Zakotłowało się i z płataniny rąk i nóg wyłonił się ciemnoskóry chłopak z piłką u nogi. Gwałtownie przyspieszając wyminął dwóch obrońców i z zimną krwią ułokował piłkę w siatce obok bezradnego bramkarza. Ksiądz poderwał się, krzycząc radośnie i klaszcząc w dłonie. Był niski i pulchny. Jego szaleńczy entuzjazm wydawał się być nie na miejscu.

– O to właśnie chodziło – cieszył się, zajmując z powrotem miejsce. – Chłopcom z sierocińca nie udało się wygrać z drużyną z Sannat przez ostatnie siedem sezonów. – Zerknął na zegarek. – Jeszcze tylko dziesięć minut, za mało, żeby strzelili nam dwa gole. – Wskazał brodą na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie boiska i dorzucił ze złośliwym uśmiechem: – Ale się ojciec Joseph będzie wściekał!

– Co to za chłopak? – zainteresował się Creasy. – Pytam o tego, który strzelił bramkę.

– Nazywa się Michael Said – w głosie księdza pojawiła się ciepła nuta. – Najlepszy gracz, jaki nam się trafił w ciągu moich dwudziestu lat kierowania sierocińcem. Pewnego dnia zagra w reprezentacji Malty. Hamrun Spartans chcą, żeby od przyszłego sezonu grał w ich drużynie młodzieżowej. Zgodzili się przekazać na rzecz sierocińca trzysta funtów. Możesz w to uwierzyć, Uomo?

Z uwagi na mnogość występujących tam pospolitych nazwisk, na wyspie Gozo każdy nosił jakiś przydomek. Creasy nazywany był z włoska Uomo, co znaczy po prostu „Człowiek”.

– Ile ma lat?

– W ubiegłym tygodniu skończył siedemnaście.

– Od jak dawna przebywa w sierocińcu?

– Od urodzenia.

Creasy nie przestawał obserwować chłopca, który wyraźnie dominował na boisku. Chłopak nie był wysoki ani mocno zbudowany, ale poruszał się po piaszczystym boisku z wdziękiem i determinacją. Walcząc z dziką zaciętością pokonywał nawet wyższych od siebie przeciwników. Creasy nie spuszczał z niego oka.

– Powiedz mi o nim coś więcej, ojciec – poprosił.

Ksiądz obrzucił spojrzeniem swego postawnego rozmówcę.

– Nigdy przedtem go nie widziałeś?

– Spotkałem go parę razy w wiosce, ale nigdy mu się specjalnie nie przyglądałem. Proszę, powiedz mi o nim.

W spokojnym głosie Creasy'ego wyczuwało się napięcie. Ksiądz zerknął na niego jeszcze raz i zaczął, wzruszając ramionami:

– To dosyć banalna historia. Matką chłopca była prostytutka z Gziry na Malcie. Z ciemnej karnacji wnoszę, że jego ojcem był Arab, w Gzirze zawsze ich było pełno. Matka nie chciała dzieciaka, wylądował więc u nas.

– Mówi po arabsku?

Ksiądz przytaknął i wyjaśnił z nieco skwaszoną miną: – Mówi, i to bardzo dobrze, tak przynajmniej twierdził nauczyciel z Kuwejtu, który pracował u nas przez dwa lata. Całkiem przyzwoity człowiek jak na Araba. A do tego dobry piłkarz – trenował juniorów z Qala. Michael zwrócił jego szczególną uwagę. Wraz z nastaniem nowego rządu język arabski został wprowadzony do szkół jako przedmiot fakultatywny. Dowcip polegał na tym, że równocześnie wszystkich nauczycieli arabskich odesłano do domów.

W tym momencie Michael wykiwał obrońców posyłając piłkę w stronę swojego kolegi, który wpakował ją do bramki. Ksiądz nie posiadał się z radości.

– Trzy do zera! – wrzeszczał. – Nigdy jeszcze nie pokonaliśmy drużyny z Sanat różnicą trzech bramek!

Zanosząc się głośnym śmiechem wykonał nieprzyzwoity gest pod adresem młodszego od siebie duchownego z przeciwnej drużyny. Tamten spojrział na niego wilkiem. Ojciec Zerafa usiadł, nie przestając chichotać.

– Jak z jego inteligencją? – rzucił pytanie Creasy. Ojciec Zerafa uśmiechnął się i odparł:

– Mówiąc między nami, ten księżulo to zupełny idiota. Nie mam pojęcia, jak udało mu się przebrnąć przez seminarium, jedynym wytłumaczeniem jest chyba tylko to, że ma kuzyna biskupa.

– Miałem na myśli chłopca – wyjaśnił Creasy z uśmiechem.

– Oczywiście, że jest inteligentny – padła natychmiastowa odpowiedź. – Ktoś, kto tak potrafi okiwać przeciwnika z pewnością nie narzeka na brak inteligencji. Zapewniam cię, pewnego dnia zagra w reprezentacji Malty.

– Poza arabskim i grą w piłkę nożną, jak sobie radzi z pozostałymi przedmiotami?

– Nie ma żadnych kłopotów.

– A jak z innymi sportami?

– Jest najlepszym tenisistą w całym sierocińcu, a mamy tu paru naprawdę dobrych zawodników. Poza piłką nożną, tenis jest dla nich w zasadzie jedyną formą rekreacji.

Creasy ani na moment nie spuszczał oczu z biegającego po boisku chłopca.

– A co można powiedzieć o jego charakterze? – dopytywał dalej.

Ksiądz rozłożył ręce. – Trudno za nim trafić, to typ samotnika. Większość spośród sześćdziesięciu ośmiu chłopców mieszkających w sierocińcu wydaje się łączyć w grupy wiekowe, ale z Michałem jest inaczej. Ma kilku kolegów, ale nie jest to na moje oko zbyt zażyła znajomość.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, ojciec Zerafa wyczuwał rosnącą ciekawość u swego rozmówcy. Dodał więc: – Jak wszyscy młodzi chłopcy, sprawia czasami kłopoty, ale mniejsze niż inni, zresztą teraz zdarza się to coraz rzadziej.

– Dopytywał się kiedyś o swoich rodziców?

– Tak, w swoje trzynaste urodziny zjawił się u mnie z tym pytaniem.

– I co mu ojciec powiedział?
– Prawdę.
– A on co na to?
– Nic. Podziękował mi za informację i wyszedł. Od tego dnia nigdy ani słowem nie nawiązał do tego tematu.

Po kolejnej chwili ciszy Creasy zadał kolejne pytanie: – Jest religijny?

Ksiądz smutno pokręcił głową.

– Obawiam się, że nie.

– Ale na msze chodzi?

– Bo musi. Tak jak pozostali, i też bez specjalnego entuzjazmu.

Sędzia odgwiżdżał koniec meczu i chłopcy z sierocińca padli sobie w ramiona. Creasy i jego rozmówca wstali. Ksiądz otrząpał zakurzony tył sutanny.

– Mógłby go ojciec poprosić, żeby do mnie przyszedł?

Ojciec Zerafa nie ukrywał zaskoczenia. – Chcesz go zaprosić? Do siebie do domu?

Creasy spojrzął ponad boiskiem i niskimi budynkami wioski na ciągnący się szeroko łańcuch gór. Po lewej stronie pasma, wczepiony tuż poniżej najwyższego punktu wzniesienia, stał stary wiejski dom zbudowany z kamieni.

– Tak – przytaknął. – Niech przyjdzie do mnie dziś wieczorem około szóstej. Wspaniałe zwycięstwo, ojczu. Graliście wyśmienicie.

Mówiąc to klepnął lekko księdza w ramię i zszedł po stopniach kościoła do swojego dżipa. Ojciec Zefara odprowadził wzrokiem odjeżdżający samochód. W chwili potem otoczyła go gromadka chłopców z sierocińca.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy chłopak zaczął piąć się zakurzoną ścieżką w kierunku domu na wzgórzu. Ojciec Zefara był jak zawsze lakoniczny. Po powrocie do sierocińca poprosił Michaela na stronę i oznajmił: – Pójdiesz dziś na szóstą do Uomo.

– Po co? – zaciekał się Michael.

Ksiądz wzruszył ramionami. – Nie wiem. Po prostu masz tam być.

Michael wiedział o Uomo wszystko, a w każdym razie tyle, co każdy z mieszkańców niewielkiej wysepki. Uomo znany tu był również pod maltańskim przydomkiem Il Mejjiet, co tłumaczyło się jako „Ten, Który Umarł”. Michael słyszał, że kilka lat temu Uomo spędził parę miesięcy na wyspie, po czym zniknął, by powrócić w nocy w kilka miesięcy później. Ojciec Zefara przykazał Michaelowi i innym chłopcom, by trzymali język za zębami i nie rozmawiali na temat przybysza. Uwadze Michaela nie uszły też wielobarwne, nieregularne blizny pokrywające wierzch dłoni. Mężczyzna zwolnił uścisk i odsunął się na bok, przepuszczając chłopca. Michael przekroczył wrota bramy i tuż przed sobą zobaczył szeroki pas kostki z wapienia otaczający niebieski prostokątny basen. Bładość wapiennej kostki ożywiały nieregularne barwne plamy. Do ścian domu przylegały palmy, tropikalne pnącza i winorośl, które pięły się po drewnianej pergoli wyrastającej z obu skrzydeł budynku. W cieniu pergoli stał okrągły kamienny stół, a przy nim stare drewniane krzesła. Gospodarz zaprosił go do stołu.

– Siadaj. Czego się napijesz?

Michael wahał się z odpowiedzią.

– Masz za sobą niezłą wspinaczkę – zachęcał gospodarz. – Wolisz zimne wino czy piwo?

Kieszonkowe otrzymane z sierocińca było śmiesznie małe. Michael ostatni raz pił alkohol w czasie ubiegłorocznego święta wsi.

– Mogę poprosić o piwo? – odważył się wreszcie.

– Bardzo proszę. Ja też sobie wezmę.

Mężczyzna wszedł do środka. Michael stojąc przy stole ogarniał spojrzeniem rozpościerającą się przed nim panoramę Gozo. W oddali wylaniała się wysepka Comino, a za nią Malta. O tej porze roku krajobraz stanowił szachownicę barwnych plam: zielone pola, granatowe morze i jasnoniebieskie niebo. Dom Uomo stał w najwyższym punkcie wyspy. Obiegając wzrokiem mury stolicy wyspy i starożytną cytadelę Michael doszedł do wniosku, że ma przed sobą najdoskonalszy zakątek jedyne go świata, jaki dane mu było dotychczas poznać.